

№ 44. Rok XVI.

Dnia 19 (31) Października 1896 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Pomódl się dziecko.

POMÓDL SIĘ DZIECIĘ.

Słonko tak blade; poranek mglisty,
Spóźnionem światłem błysnął na świecie.
W powietrzu dzwonów dźwięk uroczysty
Czy słyszysz dziecię?

Ze wnętrza świątyń odgłos organów,
Rozsiewa nutę, lżą przesiąkniętą.
Smutnie brzmią wzniosłe pienia kapłanów
W umarłych święto.

Święto umarłych! ileż w tej dobie,
Wiara balsamu w lez czarę sączy,
Gdy jedną, wielką myślą o grobie
Dziś wszystkich łączy.

Niech i twój pacierz słowy rzewnemi,
W modlitwy starszych jak kwiat się wplecie.
Za wszystkich, co już zeszedli z tej ziemi,
Pomódl się dziecię!

L. E.

Sprawozdanie z robótek wakacyjnych.

Skończyły się wakacje, przeszedł czas zabaw i wypoczynku, a jesień wraz z plonami pól i ogrodów przyniosła nam plony pracy naszych miłych czytelniczek w postaci sukienek, koszulek, kaftaników, fartuszków, własnoręcznie przez nie uszytych. Zwyczajem lat dawnych w porze przedwakacyjnej zakolataliśmy do serduszek dobrze nam znanych i zakolataliśmy nie napróżno, bo oto na wezwanie stanęło całe grono młodych pracowniczek.

Chwile, ujęte zabawie, a poświęcone pracy dla ubogich dzieciaków, mamy nadzieję, że wam zostały sownie nagrodzone zadowoleniem wewnętrznym, myślą, że te koszulki, sukienki, kaftaniki z taką radością będą witane przez ubogie, zziębnięte dzieciaki, że z oczu matek wycisną lżę wdzięczności, a na wasze młode główki ściągną słowa modlitwy i błogosławieństwa. A modliwa i błogosławieństwo ubogiego i przed Tron Pana łąco znajdują drogę, Bóg je usłyszy i nie zapomni...

W imieniu więc tych maluczkich ślemy wam z głębi serca pochodzące Bóg zapłać!

Bóg wam zapłać za ten cały stos robót, który leży w tej chwili przed nami, za wasze poczciwe serduszka i za wasze dobre chęci raz jeszcze Bóg zapłać i do widzenia znów w roku przyszłym.

Roboty wszystkie odznaczają się starannem wykonaniem, a po bliższem rozpatrzeniu zostały osądzone w następujący sposób:

Na nagrody pierwsze za bardzo staranne wykonanie tychże robót, zasłużyły:

14 letnia: Słowik z nad Łubiany. 13 letnie: Trawka ukraińska, Choinka ze stepu, Żyzwiarka, Różowa lewkonia. 12 letnie: Konwalijka z nad Bachorzy, Hela Sandomierzanka. 11 letnie: Stefa M., Skoczka, Rozalia J., Marylka Sandomierzanka. 10 letnie: Różyczka ukraińska, Żabie oczko, Józia Ł., Irenka M. 9 letnia: Helenka K. 8 letnia: Czerwona storkotka.

Na nagrodę drugiego stopnia:

13 letnia: Fiołek marcowy. 12 letnie: Myszka, Pocieszka rodziców. 11 letnie: Gałazka bzu, Wańdzia Sandomierzanka, Ecia. 10 letnie: Zosia, Jaskółka z nad Teterowa. 9 letnia: Niebieska perełka. 8 letnie: Jadzia Sandomierzanka, Pliszka z nad Teterowa.

Na pochwałę zasłużyły:

12 letnia Marynia Ch., Gwiazdka, Polna różyczka, moza. 11 letnie: Tola P., Józia R., Trawka zielona, nieczka i Konieczynka. 10 letnie: Góralka i Srebrna. 7 letnie: Zuzia S. i Wisienka. 6 letnia: Gabryelka i 5 letnia Niunia C., Rybka morska, Zosia M. i Marysia Z.

Z żalem nie możemy wymienić imion i nagrodzić rodzawczyń sześciu koszulek, trzech sukienek i dwóch kaftaników, które przysłały wymienione roboty nie dołączając kartek, jako też roboty Węgielka z Sosnowic, przy której wymieniono wieku.

Nie ubiegając się o nagrodę, jako starsze, przysłały nader starannie wykończone robótki:

Szarotka tatrzańska, Przędza, Zosia Sandomierzanka, Czarna perełka, Staruszka.

Prosimy o odbieranie nagród w redakcyi, o ile to jest możebnem, a zgłaszających się listownie o wymienienie dawniej otrzymanych książek, by też same nie były przysłane powtórnie.

DŁUG OJCOWSKI

POWIEŚĆ
przez E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

III.

— Słuchajże i uważaj dobrze na to, co ci mówię, bo ty w tem nie masz najmniejszego doświadczenia: trzymaj się ostro i stawiaj wygórowane warunki, bo jak się tylko zmiarkują, że jesteś miękkki, toś już przepadł. Ho, ho! znam ja się na tem, bo od czwartej klasy na tym wózku jeżdżę i żyję z korepetycyi. Zresztą już ja tam nagadałem o tobie pani Cięciwiczowej. Ona jest bardzo bogata, cała ta ogromna kamienica należy do niej. Mąż jej miał dawniej restauracyę, ale umarł, a teraz ona chce, żebyś dawał lekcyę na skrzypcach dwom jej chłopakom. Tylko o to chodzi, żebyś sobie z nimi dał radę, bo to łobuzy podobno. Już ja tobym sobie z nimi poradził. Ho, ho! nie takich ja utemperowałem.

Tak pouczał Janka kolega, który staraniem swoim nastroczył mu lekcyę, a teraz prowadził go, aby się ostatecznie umówił z przyszłą swoją pracodawczynią.

Weszli do obszernej kamienicy o przedsionku z posągami we framugach i kolorowemi szybami w oknach. Kolega trącił Janka łokciem:

— Widzisz, jak to oni mieszkają — szepnął.

Nie mniej elegancko urządzone był salon, w którym się niebawem znaleźli, czekając na panią domu. Kolega Janka mierzył oczami kosztowne lustra, kobierce, zasłony u drzwi, jakby z przedmiotów tych chciał oszacować cenę, jaką żądać należało za lekcyę dla kolegi; Janek zdawał się nic nie widzieć, zaciął usta, aby nie zdradzić się z niepokojem, jakiego doznawał, występując po raz pierwszy jako poszukujący pracy, a twarz jego smutna nieco, miała wyraz wielkiej powagi, co czyniło go o wiele starszym i odmiennym zupełnie niż był dawniej. Zdawało się, że to nie ten sam Janek, który kilka tygodni temu z dziecinną swawolą biegał na wyścigi z Neronom.

Po niejakiem czasie oczekiwania, portyera przy drzwiach uchyłoną została, a do salonu weszła kobieta w średnim wieku z żywymi rumieńcami i uśmiechniętą twarzą, aby powitać obu chłopców.

— Oto właśnie mój kolega, o którym mówiłem pani — wyrzekł towarzysz Janka tonem dosyć napuszonym.

— Cieszę się bardzo — wyrzekła pani Cięciewiczowa, zwracając się do Janka z uśmiechem pełnym życzliwości — cieszę się bardzo, że pana poznałam. Chciałabym, właśnie pana prosić o lekcye na skrzypcach dla moich synków. Pan Garlikowski mówił mi o panu. Chłopcy moi, starszy Maniek, młodszy Benio, zdają mi się, że mają dosyć zdolności do muzyki, i pragnęłabym bardzo, aby ładnie grać umieli, bo ja niezmiernie lubię muzykę i sama niegdyś mogłabym była grać ładnie, ale to się zaniedbało.

Mówiła prędko, przyczem uśmiech życzliwy nie schodził z jej twarzy.

— Czy mają już jakie początki? — zapytał Janek.

— Owszem, owszem, uczą się muzyki od lat kilku, ale skorzystać wiele nie mogli z powodu, że mieli niewiele czasu do egzer cytowania się, muszą się uczyć, chodzą obaj do gimnazjum, Benio do wstępnej klasy, Manio do pierwszej. Pragnę wziąć do domu nauczyciela, z którymby codziennie godzinkę jakąś odegrać musieli.

— To się znaczy dwie godziny dziennie — wyrzekł z przyciskiem kolega Janka.

— Tak, właśnie — potwierdziła pani Cięciewiczowa.

Towarzysz Janka przybrał minę poważną i gotował się do wysunięcia naprzód kwestyi warunków, kiedy pani C., nie dopuszczając go do słowa, mówiła dalej, zwracając się do Janka:

— Za te dwie godziny dziennie, jeżeli pan będzie łaskaw się zgodzić, mogę ofiarować panu oddzielny pokój, śliczny wesoly pokoik z całodziennem utrzymaniem.

Kolega Janka chrząknął znacząco i rzekł, wydymając policzki:

— Jeden z naszej klasy ma lekcye na tych samych warunkach, co obecny tu mój kolega, pan Jan Ostrowiecki, pobiera nadto pięć rubli dopłaty miesięcznie, chociaż, mówiąc prawdę, o wiele mniej jest zdolny.

— Czy pan godzi się na te warunki, które przedstawiłam panu? — spytała pani C., mówiąc ciągle do Janka:

Chłopiec skinął głową.

— Owszem, jeżeli tylko pani będzie zadowolona z mojej nauki — wyrzekł.

— Ależ z pewnością będę — zawołała, wyciągając do niego rękę.

— Pragnąłbym tylko poznać, jak daleko chłopcy są posunięci i co umieją.

— Otóż to właśnie, że ich niema, wyszli na spacer. Ale nic to nie szkodzi, niech pan będzie łaskaw przybyć do nas jak najprędzej. A możeby pan dziś jeszcze chciał się sprowadzić? Tymczasem może pan zechce obejrzeć pokoik, przeznaczony dla siebie.

— Z przyjemnością — rzekł towarzysz Janka, uprzedzając tego ostatniego.

— Owszem, owszem, proszę panów — zapraszała uprzejmie gospodyni domu i wyprzedziła dwóch chłopców, prowadząc ich za sobą.

Pokoik, przeznaczony dla Janka, znajdował się w oficynie, nieduży był, ale dosyć wesoly, miał jasne niebieskie obicie i porządne sprzęty. Pani C. starała się wykazać zalety tego pomieszczenia, przeznaczonego dla przyszłego nauczyciela jej chłopców, i znać po niej było, iż rzeczywiście pragnęła, aby ten ostatni czuł się tutaj dobrze i nabył ochoty do pozostania dłużej w jej domu.

Gdy w końcu obaj chłopcy pożegnali się z gospodynią domu i znaleźli się na ulicy, towarzysz Janka powstał ostro na tego ostatniego:

— Przekonywam się, że jesteś zupełnie niepraktyczny i nie znasz się nic a nic na rzeczy — wybuchnął. — Gdybyś się był nie wyrwał jak Filip z konopi, że przystajesz na zgodę, byłbym dla ciebie wytargował jeszcze pięć rubli na miesiąc.

— To byłby wyzysk, mój drogi — powiedział spokojnie Janek — nie wiem jeszcze, czy przyjmując warunki, jakie mi ofiarowano, nie przeceniłem wartości mojej pracy, jakże śmiałym wyższą jeszcze nakładać na nią cenę?

— Eh! co tam prawisz — odrzekł niecierpliwie towarzysz. — Tu nie chodzi o to, co twoja praca warta, tylko rzecz głównie w tem, że jak się dla sposobności trafi i jest ktoś taki bogaty, jak pani Cięciewiczowa co może zapłacić, to należy korzystać; z biednego nie weźmiesz przecie.

Janek przystanął i spojrzął bystro w twarz towarzysza.

— Powiedz mi szczerze, Edmundzie, czy takie rzeczywiście są twoje przekonania? — spytał poważnie.

— No, bo co? — spytał towarzysz zmieszany nieco tonem głosu Janka.

— Nie obrazisz się, gdy ci powiem?

— Nie.

— Słowo?

— Słowo.

— Oto widzisz, gdyby mi kiedykolwiek coś podobnego przeszło przez głowę, nie śmiałbym potem spojrzeć w oczy żadnemu uczniemu czelowiekowi.

— Et! dziwaczysz. Ale co tam! Bywaj zdrów, bo muszę biedz na korepetycye.

— Do widzenia! Dziękuję ci z całego serca za twoją pomoc w wyszukaniu mi lekcji.

Podali sobie ręce i rozeszli się każdy w swoją stronę. Towarzysz Janka, Edmund Garlikowski, wydawał się jakiś nieswój i postępował ze zwieszoną głową, nie zauważył też, że naprzeciw niego zbliżał się jeden z uczniów tej samej co on klasy i również jego kolega. Był to niejaki Roman Malenicz, wysoki, chudy, kościsty, o rysach twarzy grubych, cerze bladawej i oczach jakby podpuchniętych.

— Dokąd idziesz? — zagadnął Garlikowskiego.

— Na korepetycye. A ty?

— Ja także na korepetycye, bodaj je licho porwał! ale mam jeszcze trochę czasu, podprowadzę cię kawałek.

— Cóż ci się stało, że się tak złościsz?

— Ale bo powiedz sam, czy to nie jest psia praca. ta korepetytorka? uganiaj się za te kilka marnych rubli na miesiąc z cudzemi dziećmi, którym miałbyś ochotę uszy pobrywać, nie zaś tłumaczyć extemporalia.

— To nie dawaj korepetycyi, przecież rodzice płacą za ciebie wpis i przysyłają na utrzymanie.

— I cóż to znaczy to co mi przysyłają? Nie okroi się z tego ani na papierosy, ani na żadne przyjemności. Ale słuchaj-no, czy to prawda, że chcesz dać Ostrowieckiemu lekcye u tej bogatej kamieniczniczki, jakże jej tam?

— U Cięciewiczowej?

— Właśnie.

— Już się umówił; dziś go tam zaprowadziłem.

— Widzisz, jaki ty jesteś. Nie mogłeś to tam mnie wkłębć.

Garlikowski się roześmiał.

— Ciebie! co nawet smyczka nie umiesz dobrze trzymać, a rzępolisz gorzej niż każdy wiejski grajek na chłopkiem weselu.

Malewicz wzruszył ramionami lekceważąco.

— Głupstwo! — wyrzekł. — Co tam po muzyce takim, jak ci dwaj Cięciewicz, oni i bez tego dadzą sobie radę w świecie, bo będą bogaci. Już ja potrafiłbym im się przedstawić, a oni tak dobrze płacą. Eh! cymbał z ciebie, żeś mnie tam nie wkłębć. Przekonasz się, że Ostrowiecki nawet ci fundy za twoją przysługę nie wyprawi. Słuchaj-no, nie można to tak jako nadrobić, żeby jego odsadzić, a mnie żeby się te lekcye dostały? Pieniądzy mi potrzeba, że aż strach.

Garlikowski zaczął się z nim żegnać z pospiechem i odszedł, nie oglądając się za siebie, rad, że go się pozbył naraz. Nigdy jeszcze cynizm, z jakim się wypowiedział Malewicz, zdradzając brak moralnego wyrobienia, trywialność jego mowy, pospolity sposób wyrażania się nie uderzyły tak rażąco Garlikowskiego jak w tej chwili. A przecież do niedawna poglądy ich co do zarobkowania nie różniły się ani trochę, przecież nieledwie dosłownie głosił te same zasady przed Jankiem. Dlaczego usłyszane z ust towarzysza zrobiły na nim takie niemiłe wrażenie? Natomiast przyszło mu na myśl to,

co przed chwilą wyrzekł Janek, i sam przed sobą zawstydził się swego podobieństwa z Malewiczem. Mimowoli porównywał szlachetną postać Janka z tym drugim, gburowatym towarzyszem, i uczył niby zazdrość względem pierwszego i ro-

rachunek i przeniósł się. Zarówno opiekun, jak i właściciel mieszkania byli przez niego uprzedzeni o mającej nastąpić zmianie pomieszczenia, którą to zmianę upozorował pan stryjem brakiem spokoju potrzebnego mu przy nauczaniu dosyć licznego towarzystwa. Pan Tomasz uznał ten wyjątek za słuszny i dał swoje pozwolenie, powtarzając synowi o odpowiedzialności za własne postępowanie.

Zaledwo Janek ulokował się jako tako na swoim nowym mieszkaniu, kiedy weszła służąca z oznajmieniem, pani prosi na herbatę.

Janek przyprowadził na siebie ubranie do porządku i udał się za służącą do jadalnego pokoju, gdzie zastał gospodynię domu i swoich dwóch przyszyłych uczniów.

— Beniu! Maniusiu! oto pan Ostrowiecki, wasz przyszyły nauczyciel muzyki — wyrzekła matka z uśmiechem na ustach. Przywitajcie się z panem i obiecacie mu, że będziecie zawsze pilni i grzeczni.

Janek uśmiechnął się życzliwie do obydwóch chłopców i podał im rękę. Starszy—Maniek szastnął posuwicie nogami i zaczął się ciekawie przyglądać swemu nowemu korepitory. Maniek był uczniem pierwszej klasy gimnazjum, miał lat jedenaście, puciołowe policzki, nos zadarty, krótko strzyżone włosy i patrzył śmiało; młodszy—dziesięcioletni Benio spuszczał skromnie oczy i zdawał się bardzo potulny i nieśmiały.

Pani C. zbliżyła się do nakrytego stołu, zapraszając uprzejmie nauczyciela swoich synków. Janek zasiadł na krześle i wyciągnął rękę, aby sobie nałożyć na talerz szynki, którą mu przysuwała gospodyni domu, kiedy, przelotnie rzuciwszy wzrokiem na swoich przyszyłych uczniów, doznał niemiłego wrażenia, widząc, jak obaj szarpali się między sobą, chcąc sobie wydrzeć jedno i to samo krzesło.

— Odejdź, ja sobie chciałem wziąć to krzesło — slychać było szept gniewny.

— Nieprawda! bo ja pierwszy, Wyoń się!

— Nie szarp mnie za rękaw, bo jak cię grzmotnę...

— Poszedł precz! słyszysz?

— Oj! czego mnie kopiesz!

Tu szarpanie i głosy stały się tak donośne, że aż pani Cięciewiczowa pospieszyła wdać się w tę sprawę, ale kiedy uspokajała młodszego chłopca i starała się go przywołać do porządku, starszy dopadł tymczasem zastawy na stole i chwycił na talerz co się dało, bez względu na to, że ani matka, ani gość nie brali jeszcze. Pani C. pospieszyła coprędzej na ratunek szynki i ciastek, lękając się skutków przejedzenia dla starszego chłopca, kiedy znów młodszy zaczął się wielkim głosem dopominać dla siebie o najlepsze ciastka, podnosząc narzekania, że je Maniek porwał. Janek, przywykły do delikatnego obejścia i przyzwoitego zachowywania się, nie wiedział poprostu co myśleć o tem wszystkim, kiedy nagle obaj chłopcy, jakby za uderzeniem różeczki czarnoksiężkiej, zanieśli poprostu, dopadli swoich krzeseł i posiadali cichutko jak trusie.

— Co ich tak uspokoiło? — pomyślał w duchu ze zdziwieniem Janek.

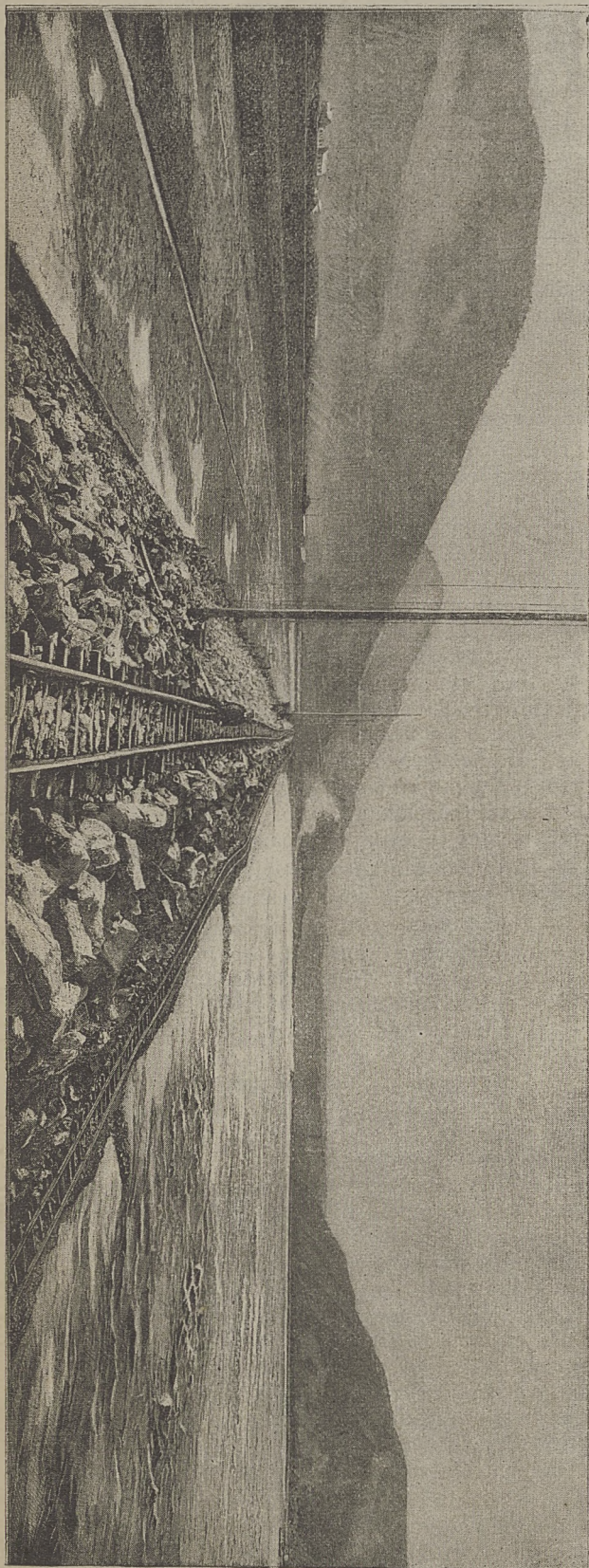
Zagadka się wyjaśniła: do pokoju wchodził człowiek już stary, siwy zupełnie, dosyć otyły, z wygoloną twarzą, krótko przyciętymi wąsami i krzaczastymi brwiami, groźnie zmarszczonemi nad czołem; ubrany był w długi, czarny, za kolana sięgający surdut, czarną w ponsowe i żółte prążki kamizelkę, w rękę trzymał błyszczący pół cylinder. Na widok wchodzącego pani C. podbiegła i pocałowała go w rękę, rzuciwszy wzrok niespokojny na swoich synków.

— A kto tu takie hałasy wyprawiał? — zapytał przybyły, zajmując miejsce przy stole.

Chłopcy siedzieli z oczami pospuszczanemi i potulnemi minami. Stary pan byłby może powtórzył zapytanie, gdyby nie był zwrócił uwagi na Janka.

— Pan Jan Ostrowiecki — pospieszyła objaśnić gospodyni — właśnie był łaskaw przyjąć obowiązek dawania lekcji muzyki moim chłopcom.

Stary pan wyciągnął rękę do Janka, który powstał z ukłonem.



Żelazne wrota.

dzącą się, niewyraźną jeszcze chęć sprostania mu w jego wyższości. Westchnął i szedł dalej ze spuszczoną głową.

Janek tymczasem zabrał swoje rzeczy z mieszkania, gdzie przebywał cały rok poprzedni, uregulował miesięczny

— Hipolit Cięciewicz, do usług — wyrzekł.

— Mój stryj — dodała pani Cięciewiczowa.

— Właściwie stryj twego męża, nieboszczyka Benona Cięciewicza, który, umierając, polecił mojej opiece żonę i tych dwóch chłopaków — objaśnił z wielką powagą stary pan Anka.

— A co tam stoi w kontrolce przez te dwa tygodnie, hę? — zwrócił się do chłopców.

Maniek i Benio porwali się z krzeseł aby pójść po kontrolki, pierwszy dość rażno i posuwistym krokiem, drugi, ociągając się nieco. Za chwilę wrócili, i Maniek pierwszy podał swoją. Pan Hipolit Cięciewicz wsadził na nos okulary i zaczął przeglądać z wielką uwagą stronnica po stronnicy.

znów nie mogą pozwolić, żeby wyrosli na nicponiów. Przyjąłem na siebie święty obowiązek opieki nad nimi, i inaczej być nie może, tylko muszą zostać porządnymi ludźmi.

Chłopcy powrócili do pokoju i zajęli swoje miejsca przy stole, a pan Cięciewicz tak dalej mówił do Janka:

— Więc to kochany pan zgodził się dawać lekcje muzyki tym oto malcom.

— Tak jest — potwierdził Janek.

— Niechże kochany pan będzie łaskaw nie pobłażać im w niczem, a w razie nieposłuszeństwa i niedbałości z ich strony niech mnie o tem powie, to już ja potrafię nauczyć ich rozumu.



Góra Graben pod Orszową, linia zakreślona nad szczytem oznacza pierwotną wysokość góry.

— No, nieźle, nieźle — wyrzekł, zwracając chłopcu kontrolkę i pogłaskał go po głowie.

— A tu co to stoi? — zawołał groźnie, pokazując palcem w kontrolki Benia.

— To? to proszę dziadzi trójka — wybąkał Benio.

— Ale ten znak minus przy trójce, hę?

— Bo... bo ja się omyliłem przy odpowiadaniu profesorowi i... i... dlatego ten znak przy trójce...

— A dlaczego się omyliłeś, co? Pamiętaj, żeby mi tego więcej nie było, bo będzie dyscyplina w robocie.

Chłopcy wynieśli się z pokoju pod pozorem schowania kontrolki, a pan Hipolit Cięciewicz tak zaczął mówić do Janka:

— Ja tu jeden muszę rygor pomiędzy nimi utrzymać, bo inaczej rozpuściłyby się chłopaki, nie daj Boże, na ostatnich łobuzów. Matka słaba dla nich nad miarę, mości dobrodzieju, pozwala na wszystko, pieści, dogadza. A ja

— Spodziewam się, że nie będę miał powodu żalić się na moich przyszłych uczniów — rzekł Janek z uśmiechem.

— Daj to Boże, cieszyłbym się bardzo z tego — rzekł pan Cięciewicz.

— No, Maniek — zwrócił się do starszego z chłopców — idź-no do przedpokoju i przynieś pudełko z cukierkami, co tam stoi na stoliku. Niezłą masz cenzurę, to dostaniesz od dziadka poczęstunek.

Uradowany Maniek pobiegł do przedpokoju i wrócił niebawem z pudełkiem cukierków, lecz teraz zawahał się nieco, popatrzył na Benia, który siedział smutny ze spuszczoną głową i, zbliżywszy się do starego pana, pocałował go w rękę.

— Proszę dziadzi, a Beniowi mogę dać trochę cukierków? — wyrzekł.

— Hm — mruknął pan Cięciewicz — u Benia nieszczęśliwa kontrolka.

— On się poprawi na przyszły raz — zaręczał gorąco brat starszy.

— Jeżeli tak, to mu daj także.

Uradowany Maniek ucałował jeszcze raz ręce dziadka i zabrał się na wspólną z Beniem do rozwijania pudełka z bibulek, w które było owinięte.

Przez cały wieczór chłopcy zachowywali się wzorowo, jak najprzekładniej. Janek myślał sobie, że mogą to być dzieci swawolne i rozpieszczone nieco, ale dobre w gruncie, i że on zdoła je do siebie przywiązać i wpłynąć na nie. Pragnął też w duszy gorąco uczynić wszystko ze swej strony, aby godnie odpowiedzieć przyjętemu na siebie obowiązkowi i pozyskać serca swych uczniów.

(d. c. n.)

Zelazne wrota Dunaju.

Żegluga po wielkich rzekach stanowi jeden z najdogodniejszych środków komunikacyjnych, ale pod warunkiem, aby była możliwą i nie połączoną ze zbyt wielkimi niebezpieczeństwami i przeszkodami. To też ludzie od najdawniejszych czasów starają się wszelkimi sposobami usuwać owe przeszkody, a że to połączonem bywa nieraz z ogromnemi trudnościami i wymaga wielkiego nakładu, umiejętności, pracy i czasu, nie więc dziwnego, że chlubić się mogą z dokonania takiego dzieła.

Dunaj, najdłuższa po Wołdze rzeka w naszej części świata, łączy, jak wiecie, Europę środkową z Morzem Czarnem. Rzeka ta, opuszczając równinę węgierską, skręca nagle na wschód i wchodzi w ciasny przesmyk między Alpami Transylwańskimi z jednej, a odroślą północnych Balkanów z drugiej strony. Można powiedzieć, że zdobywa ona sobie przebojem przejście śród gór, ale w tej walce łożysko jej zwęża się znacznie i najeżone jest setkami skalistych progów, wysepek i raf podwodnych, które aż do ostatnich czasów stanowiły nieprzebytą dla żeglugi zapórę.

Przesmyk ten niezwykle malowniczy ciągnie się około 120 kilometrów i nosi miano Żelaznych wrót.

Obecnie wrota te zostały otwarte. Po długoletnich robotach, przynoszących prawdziwy zaszczyt sztuce inżynierskiej, wykuto w tem skalistym łożysku, wolne od przeszkód koryto, i Dolny Dunaj stał się spławnym na całej przestrzeni. Pierwsza rycina nasza przedstawia z prawej, strony łożysko Dunaju, najeżone skałami, czyli tak zwane „Żelazne wrota”, z lewej nowy kanał spławny, a w pośrodku tamę, zrobioną w czasie budowy tej nowej drogi.

Na drugiej rycinie widzimy wprost tamy górę Graben pod Orszową, linia jasna w pośrodku na tle drzeworytu oznacza pierwotną wysokość góry zniesionej do dzisiejszych rozmiarów przez rozsadzenie jej dynamitem.

Poświęcenie tego wiekopomnego dzieła i otwarcie żeglugi przez Żelazne wrota, odbyło się dnia 27 września r. b. z wielkimi uroczystościami w obecności panujących, państw, stykających się w tej miejscowości, t. j. Austrii, Rumunii i Serbii.

CYGANKA.

I.

Któż nie zna cyganów, wędrujących od wsi do wsi? Ogorzałe twarze, włosy i ubiór w nieładzie, cechują to plemię koczujące, nie mające ani stałych siedzib, ani własnego kraju.

Życie, jakie pędzą, nauczyło ich nie przywiązywać się do miejscowości. Wprawdzie w niektórych okolicach zatrzymują się i po parę tygodni, lecz czyniąc to niezawodnie dla własnej korzyści.

Kobiety z niemowlętami, uwiązane w płachtach plecach, rozbiegają się po wsiach, wyłudzając niejednego grosza już ze zbactwem, lub też za pomocą kładzenia kart i przepowiadania przyszłości łatwowiernym.

W czasie tym mężczyźni ustawiają namioty, rozpalają ogniska i zajmują się robotami kowalskimi lub kotlarskimi.

W pewnym dniu wiosennym, banda takich cyganów nadciągnęła do wioski moich rodziców. A że niedaleko ztamtąd był lasu kawał, więc swobodnie rozłożyli w nim swoje ogniska.

Wyprężone konie puścili na pobliską łączkę, jedni ustawiali namioty, inni znów podążyli do wioski w celu zakupienia różnych potrzeb życia.

Na wieść, że cyganie we wsi, odrazu powzięłam myśl wybrania się z towarzystwem innych osób do lasu, aby się im przypatrzeć, zabierając pierniki i orzechy dla ich dzieci.

Małe cyganiatka nie były wcale trwożliwe. Na widok drobnej monety i przysmaczków z radością do wsi się zbiegły, wołając jedno przez drugie:

— Dajcie, panoczku, grosika ofiarujcie, co łaska, dla małych cyganów. My biedni jesteśmy, o jednej koszuli chodzimy, może i co ze starych rzeczy nam dacie?

I, okazując w tak młodym wieku niepospolitą wprawę w zbactwie, rozchwytywały drobne pieniądze, wydzierając je sobie z niepohamowaną chciwością.

Jedno przecie z tych dzieci szczególniej zwróciło naszą uwagę. Była to dziewczynka, mająca lat może jedenaście, o rysach drobnych i regularnych, cerze białej, włosach jasnych, a oczach niebieskich.

Na pierwszy rzut oka poznać było można różnicę, zaledo widoczną, pomiędzy tem dzieckiem a innymi, które tam były. Do tego smętny wyraz twarzyczki mimowoli chwycił za serce i pociągał do siebie.

Przystąpiłam ku niej parę kroków i zapytałam, jak jej na imię.

— Hana — odpowiedziała dziwnie miłym głosem.

— Przybliź się do mnie, maleńka, chcę z tobą porozmawiać trochę — rzekłam jeszcze — nie obawiaj się — dodałam widząc, że się odsuwa — ja ci nic złego nie zrobię.

Babka zakazała mi rozmawiać z obcymi ludźmi — odrzekła półgłosem, ale jednakże przysunęła się do mnie o tyle, że dostrzegłam na jej szyję na złotym łańcuszku zawieszony medaljon z wizerunkiem Matki Boskiej i jakimś napisem.

— Kto ci dał taki piękny medalik? — zapytałam.

— Nie wiem, zawsze go noszę i babka nie pozwoliła mi zdejmować, ale nie pamiętam kiedy i od kogo go dostałam.

— Mówisz tylko o babce, czy matka twoja nie żyje?

— Matka moja umarła, nawet jej nie pamiętam, mam tylko ciotki i babkę, która mnie wychowała — odrzekła, pokazując cyganki uwijające się koło ogniska. Trudno wierzyć mi było, aby to jasnowłose dziewczę mogło być dzieckiem czarnych, ogorzałych cyganów, i tem baczniej zaczęłam badać dziewczynkę. Dziwnie bo też odróżniała się ona od wszystkich innych dzieci cygańskich, delikatne rysy twarzy, jakaś wrodzona zręczność ruchów i całe zachowania dziecka były zbyt widoczne, aby nie poznać odrazu odmiennego w niej pochodzenia.

Ale czyżby było w takim razie? Co znaczy ten złoty medaljon i przez kogo zawieszony na jej szyi?

Przysunęłam się jeszcze bliżej do małej, a biorąc ją za rękę i przyciągając do siebie, rzekłam:

— Pozwól, obejrzę twój medaljon i przeczytam napis, jaki na nim wyryty.

Ruch mój spostrzegła stara cyganka, zajęta do tej pory przy ognisku, w jednej chwili przyskoczyła do dziewczynki i szarpnęła ją mocno za rękę, łajac:

— Ty próżnować myślisz i na gadaniu niepotrzebnie czas tracić, a ja stara sama schylam się i zbieram suche gałęzie

wszyscy na ogień. Do roboty mi zaraz, w obozie nikt chleba nie je, zarobić musisz na strawę i odzież, którą będziesz potrzebował.

Biedna Hana, połączona nieszczęściem, spuściła smutne wzroki w inną stronę lasu, a mnie okoliczność ta przypomniała w pewności moich przypuszczeń, że z dzieckiem wiąże się jakaś tajemnica, którą banda cygańska starannie ukrywa.

Na drugi dzień już zbliżona dziewczynki zobaczyć nie mogłam. Stara cyganka, spostrzegłszy, że na nią zwróciłam uwagę, trzymała ją blisko siebie, każąc pomagać przy kuchni, a w parę dni potem dowiedziałam się, że cyganie opuścili swoje obozowisko i w dalszą puścili się wędrowną.

Żal mi było małej Hani. Sympatyczne rysy dziecka głęboko utkwily w mej pamięci. Radabym je była jeszcze kiedy zobaczyć, a choć, ile razy cyganinie przybyli do naszej wioski, chodziłam do ich obozu upatrując jasnowłosej Hany, nigdy jej pomiędzy nimi nie było.

II.

— Czy wiesz, Helenko — rzekła jednego dnia do mnie ciotka Aniela, siostra ojca, stale od kilkunastu lat u nas zamieszkała — że znów cyganie są w lesie i podobno to ci sami, jak mówi nasz ogrodnik, w których obozie widziałas ową jasnowłosą Hanę?

— Ach! ciociu droga, pójdziemy do lasu — prawie wykrzyknęłam z radości — pójdziemy, ciociuniu moja złota, ja muszę Hanę zobaczyć. Pięć lat upłynęło od owego czasu, kiedy ją pierwszy raz pomiędzy cyganami widziałam, a jeszcze nie było jednego dnia, żebym o niej nie myślała.

— I cóż ci to pomoże, Helenko, że myślisz o jakimś cygańskim czy nie cygańskim dziecku. Choćby ono było i naprawdę nie cygańskie, to przecież go dobrowolnie nie oddadzą.

— To pewno, ale gdyby tak droga, kochana ciociu, można jako wykryć tajemnicę, bo że oni coś ukrywają, nie ma żadnej wątpliwości, a dziewczynkę odebrać i wrócić rodzicom. Kto wie, może żyją jeszcze, może od kilkunastu lat oplakują zgubione dziecko. Pójdziemy, ciociu najdroższa, zaraz jutro, nieprawda?

— Dobrze, Heleniu, pójdziemy, a może uda nam się od niej coś więcej dowiedzieć, lub przeczytać napis na owym medalionie jeżeli go do tej pory posiada.

Z niecierpliwością oczekiwałam jutra. Przeczucie jednakże mnie nie zawiodło. Zdaleka, dochodząc, ujrzałyśmy osobno siedzącą Hanę, zajętą szyciem, tę samą jasnowłosą Hanę, dziś już w śliczną dziewczynę wyrosłą. Te same piękne szafirowe oczy, tylko więcej myślące, te same jasne włosy, w starannie splecionych warkoczach spadających do kostek, a nóżki i rączki maleńkie dodawały wdzięku całej postaci dziewczęcej.

Bezwiednie zachwyciła i zwracała na siebie uwagę. Oczu nie mogłam od niej oderwać, patrzyłam, jak w obraz jaki: była piękną i uroczą!

Zacząłam z nią rozmawiać, odrazu mnie sobie przypominała i przyjaźnie się do mnie uśmiechnęła.

— Gdzieś była, Hano, przez te pięć lat całe, że ani razu nie widziałam cię pomiędzy cyganami?

— Bo nasz tabor nie był w tych stronach od bardzo dawna; podróżowaliśmy przeważnie w górach galicyjskich. Kilka razy i dłużej w jednym miejscu musieliśmy się zatrzymać. Choroba wkradła się do naszego obozu, straciłam ciotkę jedną, a i babka leży ciężko chora — dodała smutnie.

— Chora twoja babka, zaprowadźże mnie do niej. Może jej potrzeba co do jedzenia lub picia tobym jej chętnie przysłała.

— O dobrze, panienko litościwa, chodźcie do mojej babki, może was posłucha i zje cośkolwiek, już od tygodnia wodą tylko żyje.

I zaprowadziła mnie w głąb ich obozu, gdzie zdaleka na nudnym posłaniu ujrzałam chorą, wychudłą, z oczyma i policzkami zapadniętymi.

Cera jej śmiertelnie blada, oddech słaby i urywany wskazywał blizki koniec.

Przeczuwała to sama, mówiła, że czuje, iż ostatni kres jej życia się zbliża.

— Nie trwożcie się zbyt mocno waszą chorobą — rzekłam, wysłuchawszy tego, co mi mówiła — tak źle nie jest jeszcze, przyszlę wam wina, a prócz tego posiłek i lekarstw, a da Bóg, zdrowi będziecie.

— Już mnie to wszystko na nic, paniuńciu moja, żadne ziemskie leki nie pomogą — wyszeptala chora — trzeba iść przed tron Przedwiecznego, zdać rachunek z tego, jak się żyło, trzeba umierać, ale żal mi zostawić sierotę.

Gdy to mówiła, widziałam jak co chwilę spoglądała na obok stojącą Hanę z jakąś trwogą, jak gdyby coś jeszcze opowiedzieć lub wyznać mi chciała.

Obawa, czy też brak odwagi powstrzymywały ją od tego, lub też wyznanie uważała za zbyt wczesne jeszcze.

III.

Nazajutrz rankiem, przechadzając się po ogrodzie, spostrzegłam dwie młode cyganki, dążące do dworu.

Zastanowiło mnie to, co one mogą tu robić, a zdziwienie moje było tem większe, gdy w jednej z nich poznałam Hanę.

— Co was sprowadza tak wczesnym rankiem? — spytałam.

— Bieda — odpowiedziała starsza o parę lat od Hany jej towarzyszka.

— Nasza stara cyganka umiera, prosić kazała dziedzica, żeby jej posłał po księdza, bo choć cyganie nieraz w życiu ciężko grzeszą, jednak z Bogiem umierać pragną.

— Dobrze, dobrze moje drogie, bądźcie spokojne i wracajcie do chorej, ja zaraz idę do ojca. Za godzinę już ksiądz będzie w waszym obozie.

Hana wracała do chorej babki z oczami zapłakanymi, pełna trwogi i niepokoju o jej życie.

Nic dziwnego zresztą, umierająca jedyną była jej opiekunką. Drugie cyganki nie lubiły Hany. Ona jedna nie pozwoliła robić jej krzywdy, ochraniała od ciężkiej pracy i zawsze staranniej od innych dzieci ubierała.

Czuła też, że ze śmiercią babki wszystko się dla niej skończy, że ciężka i twarda dola stanie się jej udziałem.

Wprawdzie umierająca cyganka, widząc płaczącą dziewczynkę, mówiła jej:

— Nie płacz, Hano, ja nie umrę dopóki cię nie oddam pod dobrą opiekę.

Dziewczę jednak zrozumieć tego nie mogło, nie pójmując innej opieki nad tę, której się bała jak ognia.

Niedługo wezwany kapłan przybył do chorej.

Wszyscy usunęli się w głąb lasu.

Spowiedź trwała dość długo, chora podniosła się choć z trudem na posłaniu. Wyznawszy wpieryw całą skruchą swoje grzechy, długo jeszcze potem coś księdzu opowiadała. Gdy skończyła, ksiądz powstał, zwołał wszystkich cyganów, a chora gasnącym już prawie głosem oznajmiła im, żeby Hanę oddali po jej śmierci w opiekę proboszczowi, gdyż ona nie jest dzieckiem cygańskim.

Hana słysząc to rzuciła się z płaczem na kolana przy umierającej. Chora słowa już wyrzec nie mogła, spowiedź i wyznanie, jakie zrobiła, wyczerpały do ostatka jej siły, podniosła tylko rękę, zakreśliła krzyż nad głową pochylonego dziewczęcia i opuściwszy głowę na poduszki, skończyła.

Nastąpiło ogólne przerażenie w obozie cygańskim, raz z powodu śmierci staruszki, a potem z odkrycia pochodzenia Hany. Wprawdzie niektóre cyganki domyślały się w niem jakiejś tajemnicy, że jednak stara cyganka przed kilkunastu laty dopiero do ich obozu się przyłączyła, nikt nie wiedział z kąd pochodzi dziecko, które z sobą przyniosła. Ta wątpliwość też sprawiła ową niechęć, jaką cyganki i ich dzieci prawie zawsze okazywały Hanie.

Proboszcz, spełniając wolę zmarłej, chciał zaraz zabrać Hanę, by ją tymczasem powierzyć opiece moich rodziców, lecz przywiązana do swej mniemanej baluki dziewczyna prosiła, by jej wolno było, do pogrzebu nie opuszczać zwłok zmarłej, na co ksiądz chętnie się zgodził. Opuścił więc obóz cygański, a udał się do dworu, gdzie z polecenia cyganki powtórzył nam jej wyznanie w tych słowach:

Lat temu nie więcej, jak czternaście, mówiła mi, cyganie, do których należałam, zajechali do wsi, parę mil od Lublina odległej. Cyganki rozbiegły się po okolicy i ja, zabrawszy mojego synka, jedyną pamiątkę po zmarłym niedawno mężu, puściłam się ku dworowi mając nadzieję cokolwiek tam wyprosić lub za wróżenie zarobić.

W bramie pałacu spotkałam dziedzica tej wsi, człowieka choć bardzo jeszcze młodego, lecz o twarzy surowej.

Krzyknął, pogo się włóczę po drogach? Wylekła, chciałam prosić o jałmużnę, chciałam się wytłomaczyć, gdy człowiek ów nieludzki, nie czekając słów moich, gwizdnął na psa, stojącego tuż obok bramy. Pies wielkości nadzwyczajnej, w jednej chwili skoczył do mnie, chciał mnie schwytać za ramię, lecz natomiast ukąsił moje biedne dziecko. Krzyknęło ono boleśnie... krew się polała z rany, a ja, zdętwiała z rozpacz i przerażenia, sił nawet nie miałam wołać o ratunek. Pan przywołał psa, który byłby mię rozszarpał, lecz zamiast mię poratować, odwrócił się i odszedł. Dziecko było wszystkim dla mnie na świecie. Straciłam przed rokiem męża, i odtąd synek mój maleńki cały świat mi zastępował. Niestety, rana od ukąszenia psa była bardzo głęboka; nieopatrzona, zaogniła się i niedługo potem dziecko moje umarło z wycieńczenia. Z chwilą jego śmierci zamarły we mnie wszystkie lepsze uczucia. Nie płakałam, nie rozpaczalam, lecz uczułam gwałtowną chęć zemsty. Dniem i nocą myślałam, jakby jej dokonać.

Dowiedziałam się niezadługo, że człowiek, który był sprawcą mego nieszczęścia, ma także jedną jedyną dwuletnią córeczkę. Dziecko to jest całą jego i jego żony pociechą, kocha je jak bóstwo i strzeże jak oka w głowie. Postanowiłam wydrzeć mu to dziecko.

Trudności w wykonaniu zamierzonej zemsty miałam wiele. Dziecko było bezustannie strzeżone i pilnowane, ale czegoż nie dokaże zemsta cyganki tak ciężko, jak ja, zranionej? Dla odwrócenia podejrzenia przeczekałam parę tygodni. Umyślnie opuściłam obóz cygański, włóczyłam się, jak zwierzę dziki po lesie, o głodzie i zimnie, ukrywałam przed ludźmi wśród dnia, a wieczorem podsukałam się pod sam park, otaczający pałac, by tam wyszukać sobie kryjówkę. Tak raz zaczajona w zaroślach parku, spostrzegłam niańkę prowadzącą za rączkę dziecko na spacer do ogrodu. Przytuliłam się więcej jeszcze do drzewa, za którym stałam ukryta, a upatrzywszy chwilę, gdy niańka oddaliła się od dziecka i na uboczu z ogrodnikami prowadziła rozmowę, porwałam dziewczynkę, zacisnęłam jej usta chustką, żeby nie krzyczała, i uniosłam ze sobą do lasu.

Aby zmylić ślad i uniknąć pogoni; kapelusik i chusteczkę przebiegając koło stawu, rzuciłam na wodę.

W pałacu, jak mi to w parę lat potem opowiadano, powstał straszny zamęt; biegano, szukano dzieciny po całym ogrodzie. Znaleziony kapelusik i chusteczka dziecka na

stawie, upewniła wszystkich, że utonęło. Zakładanie i poszukiwania w stawie okazały się płonne, ciałka nie znaleziono, bo go tam nie było, a ja już byłam parę mil oddalona od owej miejscowości unosząc z sobą ukradzione dziecko.

W pierwszej chwili zamiarem moim było utopić dziewczynkę, lub ją porzucić wśród lasu na pastwę dzikich zwierząt i owadów. Tym sposobem zadowolnić chciałam moją zemstę, oddać temu nielitościwemu człowiekowi taką miarę, jaką on mi namierzył. Ochłonawszy z przestachu pogoni, zaczęłam rozważać, że zemsta taka obciążałaby moje sumienie zbrodnią, a ja zbrodniarką być nie chciałam. Oszałała prawie z bólu po stracie dziecka, źle sobie postąpiłam, zapominając, że Chrystus całym życiem swoim uczy nas, jak powinniśmy darować wyrządzone nam krzywdy, a wymierzenie kary tym, co względem nas zawinili, zostawić sprawiedliwości Boskiej. Wprawdzie krzywda moja była zbyt wielką i bolesną dla serca matki, ale czyż ta biedna dziecina, którą porwałam, była temu winną? Zaczęłam się jej bliżej przypatrywać, płacz jej żaloszny, wołanie matki rozbroiło mnie zupełnie... Spłakana usnęła na moich rękach, przytulając się do mnie. Widok jej litości w moim sercu obudził, a wspomnienie synka zniszczyło wszelką chęć dalszej zemsty. Spiącą dziecinę otuliłam starannie, chroniąc od wpływów wilgotnego powietrza i pozwoliłam jej spać długo i wypocząć po płaczu.

Po kilku dniach dziewczynka przestała płakać, zaczęła się przyzwyczajać do mnie, a ja się do niej przywiązałam... Bóg świadkiem, ani razu jej krzywdy nie zrobiłam. Otaczałam opieką, jak własne dziecko, nigdy na niczem jej nie zbywało, a nawet zdawało mi się, że synka mego nie byłabym więcej kochała...

Moja śmierć zrobiłaby ją podwójną sierotą, niech więc wróci do swych rodziców, jeżeli żyją jeszcze. Tam lepiej jej będzie jak tu po mojej śmierci.

W końcu powiedziała jeszcze nazwisko wsi i rodziców Hany i skonała, nie zabierając ze sobą na tamten świat ciężaru winy, którą w szalonej zemście popelniła.

Na tem proboszcz skończył opowiadanie umierającej cyganki.

— Przyznam się państwu — wyrzekł — że ta biedna Hana zasługuje na to, abyście na czas jakiś przyjęli ją pod swoją opiekę...

— Ależ przyjmijmy, przyjmijmy — odparła moja matka — a nasza Helenka będzie nad nią czuwała, jak siostra, i powoli przygotowuje do wielkiej radości, jaka ją czeka, Na chwilę nawet nie wątpię, że odnajdą się jej prawdziwi rodzice.

— Czy tylko żyją jeszcze do tej pory — rzekł proboszcz — to już przeszło lat czternaście od czasu porwania dziecka.

— Zależy, jak oddziaływało na nich to nieszczęście, czasem słabe dusze łamią się w cierpieniach, silniejsze tylko hartują się w niem, jak stal w ogniu. Ojciec Hany nieludzkie obejście się z cyganką okupił ciężko — odrzekł mój ojciec.

(d. c. n.)

PRENUMERATA W YNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Pomódł się dziecko, wiersz (z ryc.) — Sprawozdanie z robótek wakacyjnych. — Dług ojcowski, powieść przez E. Jerlicza. — Żelazne wrota Dunaju (z ryc.) — Cyganka. — Dodatek: Pogadanka z wujaszkiem (z ryc.) — W dzień zaduszny. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Królestwo złocińców. — Rozwiązania łamigłówek. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.

WIECZORY RODZINNE



B o b r y.

POGADANKA Z WUJASZKIEM.

(Dokończenie).

— Bywają też szare lub łaciate króliki, wszystkie jednak mają futerko miłe i lekkie, dla niego też, jak również dla dość smacznego mięsa, są, szczególnie przez właścian naszych, hodowane i łatwo nawet dają się oswoić tak, że z ręki jedzą. Lecz jeżeli między myszą a królikiem tak wielka w powierzchowności ich istnieje różnica, to zdziwisz się jeszcze więcej, gdy ci powiem, że cechami ogólnymi należy tu także niezbyt duże stworzonko, ale którego grzbiet i tylną część ciała pokrywają długie, twarde kolce w poprzeczne białe i czarne pierścienie. Zowie się ono jeżo-zwierzem i żyje w południowej Europie i północnej Afryce.

— Czy to z tych kolcy jego robią też czasem obsadki do piórek? bo mi ciocia raz taką właśnie w paski darowała i mówiła, że to jak włosy rosną na zwierzęciu, tylko ja zapomniałem, jak je nazwała.

— Być łatwo może, że jest to kolec z jeżo-zwierza, praktyczny człowiek bowiem, stara się i najdrobniejszą rzecz zużytkować. Ale trudno mi wymienić ci teraz wszystkie gatunki zwierząt, jakie jeszcze kiedyś poznasz, gdy się będziesz uczył zoologii. Dziś wspomnę ci tylko o sławnym cieśli murarzu, jakim jest „bóbr”. Zwierzę to, którego futro o krótkim, jedwabistym, ciemno-brunatnym włosie, bardzo drogo bywa płaconem, ścigane przez myśliwych, stało się w Europie osobliwością. Niedługo przebywały u nas bobry dość licznie nad Bugiem i Wisłą, na Podlasiu i na Litwie. Obecnie spotykają je wyłącznie prawie w północnej Ameryce, gdzie na zimę w ciszy leśnej, nad brzegiem rzek zmyślne te zwierzęta zakładają wspólną pracę kolonie, z szeregu kilku lub kilkunastupiętrowych domków z drzewa, wylepionych gliną.

Bóbr ma ogon spłaszczony, łuską pokryty, nogi tylne spięte błoną, uszy krótkie, a nozdrza tak urządzone, że w wodzie szczelnie zamykać się mogą.

Bodaj jednak zbyt długo przeciągnęła się dzisiaj na-

sza gawędka, idź już teraz, mój Władku, pobiegać trochę po ogrodzie, bo i mnie spieszno do gospodarstwa.

— Dziękuję, och dziękuję serdecznie, za wszystko co mi wujaszek mówi, daleko więcej jest to zajmującym, od najpiękniejszych nawet bajek!—wołał Władzio, całując ręce dobremu wujowi.

M. D.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

(Mojej siostrzyczce Irence K. na pamiątkę).

W ubogiej, piaszczystej okolicy, daleko od mieszkań wesołych i szczęśliwych dzieci, które mają kochających rodziców, na progu chaty nędznej wioski siedziała dziesięcioletnia uboga dziewczynka, wsparłszy jasną główkę na opalonej ręczce. Zimny wiatr jesienny, choć zrywał jej z ramion połataną chusteczkę, nie zdawał się przestraszać dziecka. Smutnie i poważnie patrzyła w dal, wzdychając z cicha.

Oj, bo też miała czego płakać i smuć się Ewunia. Sierota bez ojca i matki, na łasce obcych ludzi, nie знаła co serdeczna pieśczoła, co pocałunek matki, albo zabawa z rodzeństwem. Nie wiedziała nawet biedaczka, gdzie groby rodziców, by się czasem na nich pomodlić i użalić tym zielonym mogiłam.

Tylko jeden stary Maciej, po wiele razy o to zapytany, opowiedział raz sierotce, że są pochowani w pobliżkiem miasteczku, na cmentarzu pod lasem.

Ale Ewunia, ciągle będąc przy pracy, nie miała czasu iść na poszukiwanie tych mogił i siedziała w tej chwili smutna na progu chaty.

— Słuchaj, mała — rzekła łagodniej jakoś, niż zwykle, do niej gospodyni — zapomniałam, że to dzisiaj dzień zaduszny, a ty sierota; możebyś poszła na mogiłki swoich rodzonych?

— O, Bóg wam zapłać, Bóg zapłać wam, pani gospodyni! — szeptała, płacząc dziewczynka.

— No, idź już, bo już późno, a wracaj przed nocą.

I Ewunia poszła.

Zimny, ostry wiatr, zmieszany z drobnym deszczem, siekł ją w oczy, odstręczając od podróży. Ale idąc na grób matki i tatula, czyż mogła myśleć o czem innym jak o nich?

Nagle błysnęła jej nowa i snadź dobra myśl, bo zaczęła iść szybciej.

Zamiast drogą, pójdzie lasem, to bliżej. A choć lasem straszno, ale warto choćby i to przejść, byle na mogiłki zajść wcześniej i dłużej módz się pomodlić.

Nad rowem, boso, w podartej spódnicy, otulona strzępem spłowiałej chusty, szła szybko, choć wątła i blada, chudemi, od zimna posiniałymi rączkami, odgarniając włosy od oczu, przystawała czasem i smutno patrzyła w dal.

Ot, i las już widać blisko. Szumi ogromny, ciemny...

Dziewczynce straszno.

Wicher podnosi żółkle liście, jęczy i rwie zwiędłe burzany i trawy.

Przeżegnawszy się, ściągnęła chustkę na ramiona i po chwili chciała przeskoczyć rów, dzielący ją od lasu. I znów się waha.

W lesie mogą być wilki, tyle razy słyszała o nich.

Wreszcie przeskoczyła rów.

Wtem poczuła ciężką dłoń, wstrzymującą ją na miejscu mimowoli, i posłyszała głos leśniczego, surowy, groźny.

— Do lasu chodzić nie można po gałęzie, a zresztą jeszcze cię wilki zjedzą, i będę miał kłopot. Zawracaj. Do lasu niewolno — powtórzył raz jeszcze.

Dziewczynka z wyrazem przerażenia i bólu bez miary rzekła:

— Nie... wolno? — Nie... wolno? A potem jęknęła jedno, tylko jedno słowo: Dlaczego?

I taki żal, taka skarga była w tem słowie, że aż staremu gajowemu smutno się zrobiło, ale obowiązek nie pozwalał mu puścić dziecka do lasu. Mogło zabłądzić lub spotkać wilki, które głodne, bywają niebezpieczne.

Dziewczynka stała wciąż. W zapadającej nocy mogła się zdać widziadłem z cmentarza. Była blada, bardzo blada, usta miała sine, oczy szkliste, bez wyrazu, jak martwe. Ręce cisnęła do piersi, nie łkała, szepnąwszy tylko: o Boże! odwróciła się, chcąc odejść.

Ale to było nad jej siły, zachwiała się i osunęła na ziemię.

Leśniczy był w niemałym kłopotcie.

— Ha i cóż — rzekł w końcu. — Zaniosę ją do dworu.

W małym, zacisznym pokoiku Irenki K. ciepło było i jasno.

Powróciwszy z kościoła, gdzie się pobożnie modliła za dusze zmarłych krewnych i znajomych, siedziała teraz między mamą i babcią, robiąc starannie robótkę i słuchając, jak tatuś rozmawia o polityce z dziadkiem, siedzącym w fotelu przed ogniem na kominku.

Wszyscy zebrali się tutaj, bo choć pokój malutki, ale ciepły był i jasny. A przytem coś jeszcze sprowadziło tu wszystkich. Oto na kanapce, wśród poduszek i szalów spoczywa w pokrępiającym śnie Ewunia, przyniesiona tu przez gajowego. Jak widzimy, dobrą ma opiekę, bo Irenka wie, że biedni to także dzieci Boże, o których pamiętać trzeba.

Ale oto w tej chwili, gdy schylona nad sierotką, patrzy na nią ze współczuciem, nowa myśl snadź jej błysnęła, gdyż, składając z wdzięcznością rączęta, wyrzekła:

— O Boże, dzięki Ci, żeś mi nie zabrał rodziców, dziadzi i babci. O! jakże ja dobrą być powinnam! Poprosiła potem rodziców, aby jej pozwolili wziąć sierotkę. Zgodzili się na to i Ewunia, zbudziwszy się na drugi dzień, myślała: Widać, że tatulo i matula w niebie widzieli, jak szłam szukać ich mogiłek, i wysłali mi po drodze gajowego, by mię zaprowadził do tej dobrej pani.

Wkrótce potem na grobie rodziców Ewuni stał duży drewniany krzyż z pobożnym napisem, bo w Irence sierota znalazła prawdziwą siostrzyczkę.

J. P.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Bo zastępuję dziś służącego, a Jo nigdy przy stole nie mówi.

— Dzisiaj siadaj razem z nami!

Jak gwarno zrobiło się przy stole, opisać trudno, zniknęła nieśmiałość, a zastąpiła ją wesołość i serdeczność.

— Jak można mówić, że są źli ludzie na świecie — rzekła Melcia, nie mogąc się powstrzymać od wypowiedzenia głośno swej myśli.

— Są jednak, moje dziecko — odrzekła pani Joanna — najlepszym dowodem są ci, co o was niesłusznie tyle złego opowiadali.

— To prawda — odezwał się pan Dumany — pocziwie dzieci nikomu nic nie zawiniły, a już ich dosięgła zawiść ludzka...

I posmutniał, myśląc, że było to sprawą jego bratowej, potem opowiedział jak znalazł Melcię i Iwonka zemdlonych na drodze.

Rozczulenie ogarnęło słuchających, pocziwa Joanna płakała, wtórowali jej Piotruś z Szymusiem, ale wachmistrz, nie chcąc, by tak wesoło zaczęty obiad zakończył się łzami, wznosząc kieliszek do góry, rzekł:

— Pozwoli pan radca, że wypijemy zdrowie zacnego opiekuna tych biednych sierot.

— Tak, tak, postąpił pan zacnie i szlachetnie! — zawołała pani Joanna.

— Zapominasz, Joasiu, że pan Dumany może nie rad jest z takiej poufałości biednych ludzi.

— Wiem, mój drogi, że pan Dumany jest bardzo bogaty, ale przekonałam się, że posiada jeszcze więcej dobroci w sercu, niż pieniędzy w kieszeni.

— I dlatego rozumiemy się tak dobrze z panią — rzekł pan Dumany, wyciągając do niej rękę, a pocziwa kobieta z rozczulenia nie znalazła odpowiedzi. Nikt się nie spostrzegł, że prędko nadeszła chwila rozstania. Iwonek odciągnął Piotrusia na bok i wsunął mu w rękę cztery sztuki drobnej monety, mówiąc:

— Dałeś mi ostatnim razem dziesięć susów.

— Skoro ci je dałem, to już do ciebie należą.

— Nie, wtedy byłem bardzo biedny, ale teraz mam pieniądze i muszę ci je oddać.

— To oddaj mi tylko dziesięć, więcej nie wezmę.

Iwonek, nie chcąc urazić Piotrusia, nie nalegał, ucałowali się tylko serdecznie i wyszli za wszystkimi na ganek, gdzie w tej chwili zajechał powóz, z którego wysiadł pan Andeo, pragnąc także poznać tych zacnych ludzi, o których słyszał tyle dobrego.

Jeszcze ostatnie pożegnanie i pan Dumany, Andeo i Melcia wsiedli do powozu, Iwonek usiadł na koźle, Jo zatrzasnął drzwiczki, wskoczył obok niego i konie ruszyły...

Kiedy bratowa pana Dumany dowiedziała się o skarbie przywiezionym, a należącym do nienawistnych jej

dzieci, wpadła w straszny gniew, utrzymywała bowiem, że z pewnością musiały one ukraść te kosztowności, i że niebezpiecznie trzymać dłużej tych małych złodziei. Ale pan Dumany, zniechęcony tą jej zazdrością, postanowił się z nią rozstać i w tym celu ofiarował jej w dożywocie jeden ze swych majątków, który miał przejść potem na Franciszka.

Wielka była radość w całym domu, gdy odjechała pani Amelia, bo nikt nie lubił tej złej kobiety.

Tegoż wieczoru, gdy wszyscy zebrali się znowu razem, pan Dumany otworzył skrzynkę i rozsypał na stole zawarte w niej drogie kamienie, lśniące wszystkimi barwami tęczy.

— Według mego zdania, klejnoty te warte są około dwóch milionów franków, ale nie należy trzymać ich u siebie, tylko sprzedać handlarzom drogich kamieni w Paryżu.

— Ja myślę, że pan najlepiej doradzi, co dzieci mają zrobić z tym skarbem — rzekł Andeo.

— Nie, nie — zawołała Melcia — ten skarb należał do pańskiego dziadka, a teraz do pana.

— Mojem zdaniem, tem wszystkiem powinniście się podzielić — rzekł pan Dumany. — Jedną połowę weźmie Andeo, jako spadkobierca ich właściciela, drugą Melcia i Iwonek, jako nagrodę za prawdziwie cudowne odzyskanie tego skarbu, sprzedaż zaś klejnotów, jeśli zechcecie, sam się zajmę.

Po długich sporach obie strony zgodziły się na podział według rady pana Dumany.

— Dlaczego to mer z Ploumanach nazwał pana Andea panem de Kerdrenc? — spytała Melcia.

— Bo nazwisko moje jest Andeo de Kerdrenc, ale od czasu straty majątku używam zwykle tylko imienia — odpowiedział zapytany.

(d. n.)

KRÓLESTWO ZŁOCIENCÓW.

(Dalszy ciąg).

Ale Promyczek nie słyszał; rwał ciągle kwiatki i przypatrywał się, jak przy blasku miesiąca wydawały niby z zastygniętymi łezkami na kielichach. A Śniegulinka widziała ciągle zbliżającą się i rosnącą czarną plamę, słyszała zdaleka krakanie, więc wołała:

— Wracaj Promyczku, rzuć kwiatki! Prędej! Prędej!

Teraz i Promyczek usłyszał krakanie i zobaczył cieniutkiego wielkiego ptaka. Rzucił wszystko i zręczny, jak wiewiórka, wspiał się po sznurze, poczem Śniegulinka oderwała prędko prześcieradła od drabiny, wrzuciła je pod łóżko i znowu, nim stara wsunęła się do izby, dzieci leżały cicho, niby śpiące, tylko serduszka ich były gwałtownie.

Ale nazajutrz wiedźma znalazła sznur pod łóżkiem i dopytywać się zaczęła, na co go skręcili. Śniegulinka nie wiedziała co odpowiedzieć, wiedźma schwyciła ją za włosy.

— Myślicie, że wam pozwolę tak marnować prze-

ścięradła — wykrzyknęła. — Włosy ci powyrywam i z nich prześcieradło upręde.

Śniegulinka krzyknęła z bólu, Promyczek rzucił się do niej.

— Daj pokój Śniegulince! — zawołał, zasłaniając ją sobą — ja porwałem prześcieradła. Nie rób jej nic złego.

— Będziesz mi się tu hardo stawiał, ty zuchwały malcze — wrzasnęła wiedźma — usmażę cię na węgielkach razem z twoją Śniegulinką.

I kościstemi palcami szarpnęła Promyczka za ramię i zatrzęsała nim gwałtownie. Wtem... zaszeleścił i upadł na ziemię złoty kwiatek na zielonej łodydze; widocznie, kiedy Promyczek, uciekając przed wiedźmą, cisnął snop z pospiechem, a jeden kwiatek przyczepił się gdzieś do jego ubranka.

Na ten widok Śniegulinka załamała ręce. Promyczek pobladł, a wiedźma stała się najpierw białą jak kre-
da, później czerwoną jak ogień ze złości.

— A więc tak mnie oszukujecie! — zaryczała po chwili straszego milczenia. — Odkryliście sprężynę w drzwiach i drabinę w ciemnicy, biegaliście po łące, zrywaliście kwiaty. Będziecie za to ukarani, ostatnia wasza godzina wybiła, gotujcie się na śmierć.

Dzieci padły na kolana, ale czarownica, nie zważając na to, poszła do ciemnej izby, i dzieci usłyszały, jak ostrzyła na kamieniu wielki nóż.

III.

Złocik.

Śniegulinka i Promyczek, truchlejąc, tulili się do siebie, Śniegulinka płakała, a Promyczek myślał z rozpaczą, że niema sposobu ocalić jej i siebie od pewnej zguby.

— Śniegulinko! Promyczku! — ozwał się naraz cieniutki, ale dzwięczny głosik.

Promyczek podniósł żywo głowę i rozejrzał się, ale nie zobaczył nikogo.

— Śniegulinko! — powtórzył głosik.

— Kto mnie woła? — zapytała dziewczynka, rozglądając się.

Nagle spostrzegła stojącego przed ławką maleńkiego, ślicznego człowieczka. Wysoki był może na pół łokcia, ubrany w szarawarki z zielonego atlasu i w czamarkę złotą aksamitną; na głowie miał śliczną złotą czapkę, za którą zamiast pióra zatknięte było kilka zielonych pączków; na nogach żółte safianowe buciki.

Twarzyczka jego była roztropną i wesołą, skłonił się grzecznie dzieciom, które patrzyły na niego zdumione.

— Kto jesteś, karzełku, i jak się nazywasz? — zapytała Śniegulinka.

— Jestem żółtoludkiem a nazywam się Złocik, przybywam was ratować.

— Ach, ratujże coprędzej! — zawołał Promyczek, bo zgrzytanie żelaza o kamień znowu słyszeć się dało.

Złocik skinął, aby szli za nim, wszedł pod łóżko, stanął koło małej szczelinki w murze i tupnął złotym bucikiem; wnet szczelina roztworzyła się tak, że dzieci z łatwością przejść mogły. Wszyscy troje wydostali się na świeże powietrze. Teraz Złocik zaczął biec szybko, tak szybko, że Śniegulinka i Promyczek ledwie nadążyli za nim, Żółtoludek prowadził ich coraz ciemniejszym lasem;

miejscami gęszcz stawał się nieprzebity, wtedy uderzał bucikiem w ziemię, a krzewy rozstępowały się; miejscami trzeba było przechodzić bagniska, lub przeskakiwać pnie i kłody — droga była uciążliwa. Nareszcie, nad wieczorem dotarli do dużej rzeki, na brzegach jej rosły skrzyppy i widłaki, w maleńkiej zatoce zaś rozkładały swe liście nenufary. Złocik sięgnął po najbliższy liść i zaczął w niego dmuchać. Śniegulinka z ciekawością patrzyła, jak liść wyginał się, wydłużał, stawał się to wklęsły, to wypukły; nareszcie zrobiła się zeń zielona łódka, którą Złocik spuścił na wodę.

(d. c. n.)

ROZWIĄZANIE DO N-ru 42-go

Szarady: Po — ko — ra.

Krzyża magicznego:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| | B | H | | | |
| | e | a | | | |
| B | e | r | l | i | n |
| H | a | l | i | c | z |
| | | l | e | | |
| | | n | z | | |

Zadania konikowego:

Obca dla mnie z bogactw pycha,
Ni o szat mych stoję chwałę;
Szczupła trzoda, chatka cicha —
To są moje skarby całe.
Mała chatka, ale własna,
Lepsza, niżli gmachy cudze,
U stóp góry woda jasna,
W słanej kwiatem brzęczy strudze.

A. E. Odyniec.

Skrzynka do listów.

Pani K. B. Prenumeratę Szanownej Pani na cztery egzemplarze Wieczorów otrzymaliśmy, od nowego roku pismo wysyłać będziemy pod wskazanymi adresami, największa odległość nie jest dla nas żadną przeszkodą. Kierunek literacki i skład redakcji Wieczorów Rodzinnych, pozostają nadal te same nie ulegając żadnej zmianie.

Ułtance z nad Kaniny wysłaliśmy zagubiony numer Wieczorów; cieszymy się, że „Mali Robinsonowie” czytani są z takim zajęciem. Rozwiązanie logogryfu bardzo było dobre, brakującą sylabą zapewne skutkiem omyłki zecera została opuszczoną.

Nie wymagamy od naszych czytelników podziękowań za nagrody, które im się słusznie należą za dobrze napisanie zadań, dlatego też i *Starszy braciszek* nie potrzebował tłumaczyć zwłoki w napisaniu do nas. Miło nam tylko się dowiedzieć, że wysłana nagroda doszła na miejsce i że się podobała. Wieczorami trudno pisywać listy to rzecz naturalna, wszak to chwila przeznaczona dla wypoczynku i zabawy. Liścik bardzo był dobrze i porządnie napisany.

Dlaczegoż dopiero raz pierwszy po czterech latach *Obłoczek* z Częstochowy namyślił się pisać do nas? Czyż do korespondencji z nami potrzebną jest odwaga? Każdy liścik naszych czytelników mile jest widziany i serdecznie witany przez Redakcję; proszę o tem pamiętać i pisywać tak często, jak czas na to pozwoli. Rozwiązania dobre. Do układania szarad i zagadek potrzebne są tylko świeże pomysły i wprawa.